Po co nam foki w Bałtyku? Po co nam bioróżnorodność? Wciąż zadajemy te same złe pytania.

Prof. Jan Marcin Węsławski jest biologiem i ekologiem morza, a także dyrektorem Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk w Sopocie.

Dwa wielkie wyzwania stojące obecnie przed nami i kolejnymi pokoleniami to globalna zmiana klimatu i kryzys bioróżnorodności. Zyskały one sobie mocne miejsce w debacie publicznej, często łączy je jeden zestaw zadań do rozwiązania.

A jednak te dwa zjawiska – zmianę klimatu i kryzys bioróżnorodności – dzieli fundamentalna różnica.

Nie ratujmy Ziemi, ona sobie poradzi

To prawda, że w dalekiej przeszłości zmiany klimatu zachodziły wielokrotnie. Często były też znacznie poważniejsze niż ta obecna. Jednak nasza cywilizacja, infrastruktura, dobrobyt rozwinęły się w ostatnich 10 tys. lat, w okienku dość stabilnego klimatu.

Drobne, z pozoru, wahnięcie globalnej temperatury o kilka stopni spowoduje więc katastrofę dla większej części ludzkości.

Jesteśmy zależni od miast, portów, czystej wody w kranie, zsynchronizowani z dzisiejszym poziomem morza czy strefami upraw rolnych.

Natomiast zmiana bioróżnorodności – powodowana przez człowieka bezpośrednio (fizyczne niszczenie środowiska naturalnego) i pośrednio (przez zmianę klimatu) – nie oznacza ani katastrofy przyrodniczej, ani klęski ludzkości.

I biosfera, i ludzkość ją przeżyją.

Przyroda jest po nic

Dla człowieka pytanie „po co?" jest zasadne i często bardzo ważne. Zakłada celowość podejmowania aktywności. Po co się uczymy angielskiego? Żeby dogadać się z obcokrajowcami.

To samo pytanie traci jednak sens, kiedy zadajemy je w przypadku przyrody.

Dziś często jest ona określana właśnie terminem „bioróżnorodność" – nadużywanym zarówno przez bezlitosnych niszczycieli przyrody, jak i przez jej obrońców.

Niszczyciel dzieli przyrodę na tę, która jest „po coś": drzewo na deski, koza na skórę, kapusta do garnka. Oraz tę „po nic" lub szkodliwą: chwast wyrwać, komara zabić, wronę przegonić.

Obrońca przyrody (bioróżnorodności) też ją klasyfikuje, gorączkowo starając się uzasadnić celowość jej istnienia.

Drzewa dają nam tlen, motyl zapyla, a inne owady zapewniają stabilność ekosystemu, bez której czeka nas apokalipsa. Każdy organizm ma swoją rolę do odegrania.

Niewygodna dla wielu prawda jest natomiast taka, że przyroda i jej różnorodność nie powstały po coś ani tym bardziej dla naszego komfortu.

Jesteśmy, bo możemy być

Życie rozpoczęło się od jednokomórkowego organizmu, który natychmiast wszedł w konkurencję ze swoimi klonami. Konkurencja i walka o przetrwanie prowadzą zaś do wyścigu zwanego ewolucją.

Warto być trochę różnym od krewnych, żeby zająć inne miejsce i korzystać z takiego pokarmu, którego inni nie potrafią znaleźć.

Ten wyścig doprowadził do istniejącego rozkwitu różnorodności biologicznej, która zdaniem wielu naukowców jest dziś najwyższa w trwającej blisko 4,6 mld lat historii Ziemi.

Ewolucja, w wyniku której powstają nowe gatunki (czyli bioróżnorodność), jest jednak bezkierunkowa. Nie da się jej przewidzieć, sama nie ma celu, po prostu się dzieje i rozpędza jak kula śnieżna.

W pewnych warunkach, na stabilnych, ciepłych płyciznach oceanu następuje nagromadzenie nowych form i powstaje cud natury – rafa koralowa. Ten fantastyczny spektakl, który powinniśmy chronić i cieszyć się nim jak najdłużej, nie powstał jednak „po coś".

Powstał, bo mógł.

Bioróżnorodność nie musi zapewniać odporności

Bogactwo gatunków (genów, siedlisk lub innych miar bioróżnorodności) jest traktowane przez obrońców przyrody jako „ubezpieczenie" ekosystemu. Zgodnie z tą teorią im więcej gatunków, tym bardziej jest on stabilny, produktywny i odporny na zaburzenia. Jeżeli zginie jeden gatunek, jego funkcję przejmie kolejny.

Faktyczny obraz jest jednak bardziej złożony.

Znane są bardzo stabilne, produktywne i odporne ekosystemy oparte na niewielu gatunkach (np. morza polarne). A także superróżnorodne, bogate w genetyczną i gatunkową zmienność ekosystemy raf czy wysp tropikalnych, wrażliwe na zaburzenia i bardzo trudne do odbudowy.

Usługi ekosystemowe – czyli pożytki, które człowiek czerpie z przyrody – też nie zależą od bioróżnorodności.

Czy chodzi o białko, czy o magazynowanie węgla, najskuteczniejsze są ekosystemy proste, choćby pole uprawne.

W Morzu Barentsa żyje blisko 2500 gatunków, a w Morzu Norweskim – 12 tys. Czy to oznacza, że Morze Barentsa jest cztery razy gorsze od Norweskiego? Nie wspominając o superubogim Bałtyku z ledwie 500 gatunków.

Oczywiście, na dzisiejszej bioróżnorodnej Ziemi znajdzie się przykłady na każdą zależność. Co wskazuje na to, że ogólnych prawideł trudno się doszukać.

Mimo tego jak najbardziej słuszne zaniepokojenie niszczeniem naturalnych siedlisk i gatunków jest podpierane coraz bardziej dramatycznymi apelami o zatrzymanie spadku bioróżnorodności.

Często nazywanego „szóstym wielkim wymieraniem".

Niestety, w tej publicznej debacie mieszamy fakty z domysłami, a brak wiedzy ze słuszną troską o ratowanie przyrody.

Nie ma żadnego szóstego wymierania

Co oznacza bowiem rzucone kilka lat temu hasło: „wkrótce wyginie milion gatunków"? Co drugi spośród niemal dwóch milionów gatunków znanych nauce?

Byłaby to totalna katastrofa. Takie katastrofy zdarzały się już w historii Ziemi i nie były to żarty. Wymierało 70-95 proc. ówczesnych gatunków, całe typy taksonomiczne o charakterystycznej budowie i przystosowaniach.

Jednak dzisiejszy kryzys bioróżnorodności to nie żadne szóste wielkie wymieranie. To zbrodnia zachłannych i bezmyślnych ludzi na najpiękniejszych i najrzadszych tworach ewolucji.

Kiedy pijany bandyta wpada do pałacu, tłucze porcelanę, tnie obrazy i łamie meble, nie oznacza to, że wysadził pałac w powietrze i zniszczył go bezpowrotnie.

Udokumentowane wymierania od czasów historycznych to blisko 1,2 tys. gatunków zwierząt na lądach i ok. 25 (tak!) w morzach.

Samo słowo „wymieranie" zostało więc wypaczone – podobnie jak kiedyś demokracja traciła znaczenie przez dodanie przymiotnika „socjalistyczna". Dziś mamy wymierania regionalne, funkcjonalne, komercyjne i wiele innych. Wszystkie mają wspólną cechę – nie są to wymierania.

Wymieranie ma poważną wagę, oznacza zniknięcie gatunku, unikalnego tworu ewolucji, i brak możliwości jego powrotu.

Alarm o „wymieraniu bałtyckiego morświna" – czyli tak naprawdę wahania marginesowej populacji bardzo licznego gatunku, którego centrum występowania mieści się w Morzu Północnym – jest dobrym przykładem zamieszania wywoływanego ze szlachetnych pobudek.

Czy bioróżnorodność jest nam w ogóle do czegoś potrzebna?

A jednak ją chrońmy

Jest i to bardzo, ale nie z powodów, które się najczęściej przywołuje. Nie z powodu dóbr i usług, bo te dają nam monokulturowe rolnictwo czy akwakultura. Dla człowieka bioróżnorodność ma ogromne znaczenie etyczne i estetyczne.

I nie trzeba szukać dodatkowych argumentów, by ją chronić.

Przetrwamy jako ludzkość niszczenie gatunków charyzmatycznych, damy sobie nawet radę bez pszczół (wbrew obiegowemu powiedzeniu).

Będziemy, co prawda, jak ten pijany prymityw, który po zniszczeniu ozdób pałacowych zwali się na legowisko w obskurnej szopie i będzie tam wiódł swoje nędzne życie. Ale niech nikt nie mówi, że bez pałacu i miśnieńskiej porcelany nie da się żyć.

Na koniec dwie informacje o bioróżnorodności. Po pierwsze, jej zasobem nie są ani słonie, ani wieloryby, ani małpy człekokształtne, tylko mikroorganizmy, których różnorodność jest rozpoznana w minimalnym stopniu. Po drugie, większość gatunków widocznych gołym okiem to pasożyty, bo każdy wolno żyjący gatunek ma zwykle po kilka specyficznych pasożytów.

Pracuję zawodowo przy badaniach bioróżnorodności morskiej od ponad 30 lat i jestem głęboko przekonany, że jest ona tak samo neutralnym parametrem środowiska jak temperatura czy zasolenie. Może być wysoka lub niska, co samo w sobie nic nie znaczy.

Ocena zależy od kontekstu i od tego, kto ocenia.